

Rozdział 63

– Nie jest z nami, z ludzkością tak źle – powiedziała Gauri do Czandry na zakończenie opowieści o swoich akademickich przygodach. – Chyba trzeba będzie przedsięwziąć coś przed Kuberianami, o ile to oczywiście nie symulacja...

– Masz rację – rzekł Czandra. Ptaki śpiewały w koronach drzew, zaś kopuły dawnych grobowców wystawały zza zielonych obłoków liści. Lodi Gardens znakomicie dawało wytchnienie delikcykom. Jego niezbyt eleganckie chodniki, umocnione betonem z uwagi na pory deszczowe, ugiwały się od natłoku spacerowiczów. Mimo to Gauri i Czandra czuli się w tej powodzi ludzi, ptaków i drzew dość kameralnie, zwłaszcza że, mimo wszystko, mogła to być symulacja. – Ale poza tym skończmy z tą symulacją. Co nam to da? – dodał po chwili. – Załóżmy, że to z pewnością jest prawdziwe. Przecież nasze doznania i nasz dalszy rozwój z nimi związany jest tak czy siak prawdziwy.



– Masz rację – Gauri podniosła gałązkę i spoglądała na jej po części spalone słońcem i wyjedzone przez rozmaite stworzenia liście. – Już dawno się z tobą w tym względzie zgodziłam. Ale mam w sobie tę chorobliwą w tym momencie chęć prawdy. Muszę o tym po prostu zapomnieć, stłumić to jakoś w sobie.

– Czeka cię zaraz koncert – Czandra poklepał się wymownie po kolanach. – Jak chwycisz za instrument zapomnisz o wszystkim.

– To prawda – zaśmiała się kosmitka. – W końcu muzyka jest tak samo realna zawsze, niezależnie od ram. Czy jest w rzeczywistości, czy w symulacji, czy w symulacji symulacji, zawsze jest tak samo mocna dzięki swej strukturze, która z innej perspektywy nie jest niczym więcej, jak tylko symbolem trwania złożonego z fal i cząstek wieloświata.

W parku zapadał wieczór. Gauri i Czandra z niechęcią odwrócili się od drzew i ruszyli w stronę modernistycznego kompleksu India International Center. Lodi Gardens w świetle zachodzącego słońca wyglądało zupełnie onirycznie. Rozśpiewały się ptaki układające się do snu. Czerwone światło wydobywało z liści nieziemskie odcienie. Ciężki zapach liści i kwiatów opadł na przechodzących niczym czuła ręka chcąca zatrzymać gości. Gauri i Czandra wyszli przez parkową bramę na niezbyt ruchliwą ulicę, przeszli parę kroków wzdłuż niej i skręcili z powrotem w stronę parku. Betonowe kolumnady IIC ogarnęły ich swoim rytmem. Były już stare, starsze od nich w każdym bądź razie. Do dziś jednak cieszyły oczy niewinną nowoczesnością czasów, gdy ludzkość głęboko wierzyła w postęp i stawiała swoje pierwsze i jak na razie ostatnie kroki na Księżycu.

Publiczność jak zwykle nie była w stanie ogarnąć całej sali. Jednak wielu ze zgromadzonych było wielkimi znawcami rag, dlatego obeszło się bez wstępów i przemówień. Gauri ukloniła się przed sceną i podeszła do swojego sitaru. Obok siedziała już uczennica jednego z bywalców IIC grając wieczny akord wokół dźwięku „sam” na tampurze. Kosmitka stroiła przez chwilę sitar, po czym płynnie przeszła do rozpoczęcia ragi, medytując w tonach niedalekich od „sam”. Dopiero teraz zauważyła obok siebie tablistę, Ustada Ahira Jahara, jednego z najlepszych przedstawicieli szkoły benareskiej. Musiała wyrzeć wielkie wrażenie na mecenasach IIC, skoro na pierwszym koncercie miała tak szacownego partnera. Ahir był już starcem, jego siwa broda wiła się obok bębnów. Na głowie miał czapkę noszoną przez benareszczyków podczas koncertów, nawiązującą do tradycji sufickich i kojarzącą się z perskimi baśniami. Ciało

muzyka spowijała barwna, pięknie leżąca kurta, zszarzała jednak od licznych podróży i koncertów. W przeciwieństwie do wielu młodych perkusistów Ahir czekał całkowicie cierpliwie na koniec części alaap, gdzie instrument lub głos obywiają się bez perkusji improwizującej wokół złożonych, klasycznych rytmów.

Tymczasem sala zamarła. Nigdy jeszcze nie było w niej tak cicho. Nie znane publiczności przeżycia i odkrycia Gauri przenikały jednak do jej serc. Wszyscy mieli nieodparte wrażenie, że uczestniczą w czymś wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju. Na wielu twarzach widać było błyszczące łzy. Podupadły radża, wielki meloman, schylił swoją głowę, aby ukryć swoje wzruszenie kierowany resztkami szlacheckiej dumy. Tara Sharma, wielka tancerka kathak, wiła się mimowolnie do powstającej w przestrzeni ragi, zaś jej twarz rozjaśniał uśmiech spełnienia.

Gauri też zapomniała o wszystkim. Nie obchodził jej już dar od Słonecznego, który stał się wymyślną pułapką, założoną w realnym świecie lub w symulacji. Obecność ragini, w barwnym sari i z gwiazdami we włosach stała się jednym z dźwiękami strun i pozbawionymi słów, głębokimi jak westchnienia myślami.

Po pół godzinie podróży i budowania światów Gauri przeszła do ghatu, części ragi, gdzie linie konstrukcji są już określone i ulegają przyspieszeniu. Włączyła się tabla, bardzo malarsko i delikatnie, z wielkim szacunkiem dla delikatnej i jednocześnie mocnej jak surowa stal melodii. Gauri ciągnęła swoją muzyczną opowieść, zdobiąc ją oszałamiającymi jak wielogłowe bóstwa gamakami. Co jakiś czas schodziła na drugi plan, aby dać miejsce partnerowi, który z jedyną w swoim rodzaju plastycznością szkoły benareskiej przechadzał się z wprawnością arcyministra po jej muzycznych światach. Dziewczyna powoli odpłynęła od wszystkiego, od tego miejsca i od tej chwili, będąc jednocześnie bardziej w nich niż będąc bez muzyki.

Gauri zaczęła myśleć o swojej nieśmiertelności. Na razie

bardzo ją to cieszyło. Nigdy nie bała się śmierci, gdyż jako racjonalna ateistka czuła by się źle z tym strachem, świadczącym o głębokim niezrozumieniu natury. Teraz jednak czuła głębokie współczucie wobec zgromadzonych przed nią ludzi. Dziewczyna myślała o tym, że ich wszystkie marzenia i nadzieje rozpułną się niebawem w nicości. Muzyka, którą ich nasączała zniknie wraz z materią ich wspomnień. Jej publiczność nie dożyje zapewne przemian, jakie przyniosą Ziemi Kuberianie, albo może, wcześniej, sama Gauri.

– Jak musieli się czuć wielcy artyści, myśliciele i badacze żyjący w średniowieczu albo w starożytności? – myślała dalej Gauri, a jej palce śmigały po strunach. – Niektórzy z nich byli na tyle mądrzy, że zdawali sobie sprawę z bezmiaru otaczającego ich czasu i przestrzeni, mimo nie nadejścia jeszcze czasów Darwina czy Hubble'a. Wielcy marzyciele, geniusze rozplatający strukturę wszechświata, mieli nigdy nie zobaczyć elektryczności rozpalającej zwykłą żarówkę, czy zdjęć Ziemi z kosmosu.

Dźwięki ragi płynęły przez przestrzeń i czas obojętne nawet na myśli samej grającej. Nie było nic bardziej ulotnego i bardziej trwałego niż ta muzyka. Gauri z trudem trzymała się swojego współczucia dla śmiertelnych. Chciała zachować ten nastrój, tę myśl, aby jej ewentualne naprawianie Ziemi nie było zbyt radykalne, zbyt mało humanistyczne. Jednak wypełniająca ją przez moment empatia, godna indyjskich opowieści o Gandhim, wypływała z niej jak woda z rozbitego dzbana. Nie zastępowało jej jednakże okrucieństwo czy obojętność. Gauri stawała się ośrodkiem kosmicznej harmonii, współbrzmienia powiązań dróg w czasoprzestrzeni, a może nawet w czasoprzestrzeniach. Posłuszna temu drugiemu wrażeniu raga w finiszowej gonitwie rozbłysła palącym gwiazdowym światłem, pełnym radości i afirmacji, silnej niczym armia w natarciu.

Gdy kosmitka skończyła grać, długo nikt nie ośmielił się przerwać ciszy. Dopiero po kilku minutach rozległy się pełne pasji okrzyki „va! va!” oraz oklaski co bardziej

zwesternizowanych melomanów. Do Gauri podszedł kierownik ICC.

– Nie jestem w stanie określić co to było – rzekł głośno, aby słyszeli go też inni. – Ale jestem pewien, że mamy tu do czynienia z narodzinami legendy.

– Warto żyć dla jednej takiej chwili – rzekł zubożały radża, zaś Gauri przypomniał się piękny film Satyajita Raya o zubożałym radży, melomanie, który zapomina o wszystkim, aby zorganizować koncert. W trakcie tego koncertu za ostatnie zastawne pieniądze ginie na sztormie cała rodzina wielbiciela muzyki. Satyajit nie stawia w swym dziele kropki nad „i”. Może, mimo wszystko, dobrze, że istnieją ludzie aż tak bardzo zatopieni w uwielbieniu sztuki.

– Gdzie nauczyłaś się tak grać, siostrze? – spytała tymczasem Gauri mistrzyni tańca.

– W nocy, wśród gwiazd matko – odparła uprzejmie dziewczyna.

– Ach, to taka piękna i mądra odpowiedź – tancerka była bardzo poruszona. – Czy zechcesz kiedyś wystąpić ze mną?

– Jeśli tylko będę mogła, będzie to dla mnie zaszczyt – Gauri pokiwała głową. – Będzie to wtedy pełna sangita, jedność sztuk.

Pośród licznych gratulacji i szczerych westchnień zachwytu Gauri ponownie odczuła współczucie dla śmiertelnych.

– Naprawianie ziemskiej żywności będzie może dość radykalne – pomyślała, – lecz przecież da im z pewnością szansę na dłuższe i bardziej pełne istnienie. Wraz z uznaniem rzeczywistości, wyrwaniem się z instynktów i chtonicznych lęków przychodzi rozwój medycyny, możliwości transferu świadomości, możliwości jej poszerzania i doskonalenia. Jeśli Kuberianie szybko nie przybędą, zajmę się tym.